1844. Nr 21. ROK 3.

Redaktor Główny Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

Wspomnienia MOJÉJ MŁODOŚCI.

(Dalszy ciąg).

Jedném z najprzyjemniejszych wspomnień mego dziecinnego wieku są wiejskie wesela, których najchętniejszym bywałem uczestnikiem. Prosty nasz lud nie ma nad to ważniejszéj uroczystości. W wioskach tylko dochowały się jeszcze ślady dawniejsze pogańskich obyczajów; istniały one i w stanie wyższym, za najpiękniejszych czaszow Ojczyzny. U wieśniaków, w naszych stronach trwa wesele blisko przez cały tydzień, a dzień każdy ma inne obrządki. Był piękny zwyczaj, że każde wesele przez jednę noc bawiło się we dworze, w którym nowożeńcy z całém gronem doznawali gońcinności, i zarówno

się z panami bawiali. Muzyka złożona z dwóch skrzypków i basisty, grywała codzień, przy rannéj i wieczornéj zorzy, na dobry dzień i na dobrą noc, a jeden z drużbów miewał oracije wierszami, których treści już nie pamiętam, o stanie małżeńskim. Widzieć te druchny, w kwiatach na głowie i mnóstwie wstęgów różnego koloru na plecy spadających, rószczkę starosty, to jest, pięciogałęzią jodłą umajoną, rutą, stokrocią, jabłkami i orzechami i t. p.; była dla mnie najmilsza uroczystość. Nie znałem wtedy żadnych innych zabaw ani uroczystości, a widok orszaku powiewającego na wzgórkach chustkami na laskach zawieszonemi, muzyka wiejska, radowały moje serce uroczystém uczuciem. Do dziś dnia, wiejskie wesele nie jest dla mnie obojętne, i oburza mnie w duchu każdy wyraz wyższego stanu, gdy sobie dozwala żartować, lub okazuje obojętność na ten akt jedyny w życiu wieśniaka, który dla niego jest uroczystym. Do takich uroczystości wiejskich, należą szczególniéj święta religijne. Dzień Bożego Narodzenia pełny cudów, w którym o saméj 12éj w nocy, przemawiać miały wszystkie zwierzęta, gdy barłogiem potrząsano podłogę i stoły, a po wsi wszędzie brzmiały wesołe kolędy. Boże-Ciało, Matka Boska zielna, a szczególniéj dni krzyżowe, w których obchodzimy z processiją stare po górach rozproszone kaplice, śpiewając litaniją do wszystkich świętych, tém mocniéj, że każde, „zmiłuj się nad nami!“ echo nam oddawało. —

W Lipnicy urodził się błogosławiony Szymon, sławny w zakonie Bernardynów krakowskich. Na cześć jemu, jest wystawiony w miasteczku kościołek murowany, bardzo schludny, w którym parę razy do roku nabożeństwo bywało. Ten święty, który uczniom bosemi nogami po węglach chodzić kazał, i różnemi cudami słynął, zajął moję imaginaciją i zwrócił umysł ku religii, tém więcéj, gdy przypadkiem pomiędzy szafami znalazłem żywoty ŚS. polskich. Po stodołach i strychach, czytałem to dzieło, i nie żartem przemyśliwałem o życiu

świętobliwém, takiém, jakiego przykłady wyczytałem w tém dziele. —

Szkoły tak były wtedy w Galicyi urządzone, iż młodzieży ani głowy obciążać, ani zbałamucić nie mogły; karność nawet, co w braku innych żywiołów tworzyć zwykła charaktery, była dość łagodną, zatém na niewinne swawole nasze mógł rząd, chociaż w podbitéj i nieprzychylnéj prowincyi, spokojnie zasypiać. — Dziecie polskie, w domu albo w elementarnéj szkółce, cokolwiek po polsku czytać poduczone, przychodziło do szkół tak zwanych normalnych, gdzie wszystkiego wyłącznie tylko po niemiecku uczono. W tych szkołach, póty musiało wytrzymać, póki nie zostało po niemiecku tak usposobione, iż mogło z niemiecka po łacinie się uczyć. Ale że całą naukę zakładano tylko na opowiadaniu lekcyi na pamięć, przeto znajomość języka była tylko pozorną. Tak w tych jak w innych szkołach, professorowie nie zadawali sobie pracy w wykładaniu lekcyj i rozwijaniu pojęcia. Zadano z książki stąd dotąd, raz wytłumaczono po polsku, jeżeli professor był Polak, kazano się nauczyć, kto chybił odebrał karę i na tém koniec. Sama więc pamięć była mordowaną, każdy się uczył, nie wiedzieć czego, tylko na jeden dzień. Dzieci Niemców, miały więc tę wielką wyższość nad nami, iż rozumiały czego się uczą; a w nas wzrastała nienawiść do nich i do ich języka. W szkołach łacińskich, czyli tak zwanych gimnazijach, jeszcze więcéj było trudności. Dzieliły się na pięć klass, których głównym, a prawie jedynym przedmiotem był Alwar, na 5 wielkich, a w miarę klassy coraz większych tomów podzielony. W trzech piérwszych klassach, jeden professor przez trzy lata prowadził swych uczniów, a po tym kursie od 3ciéj, wracał znowu do najwyższéj. Ostatnie dwie klassy, retoryka i filozofija, miały już osobnych swych professorów, którzy także wszystkie nauki sami wykładać musieli. Ogromny zbiór przypisów Alwara, w tych dwóch ostatnich klassach skracany był tym sposobem, iż miedzy nami przez tradycije utrzymywały się egzemplarze

książek, w których słowa do nauczenia przeznaczone podkreślone były czerwonym ołówkiem, także nawet pojedyncze perijody do właściwéj zwięzłości przyprowadzone były; piérwsza więc czynność wstępujących do nowéj klassy była, tak sobie swojego Alwara oznaczyć. Język łaciński nauczany był według niemieckiego, i w szkołach tych już słowa po polsku nikt nie słyszał. Trudność uczenia się języka obcego, za pomocą także obcego niezrozumianego, była nadzwyczajna. Wszystko więc odbywało się mechanicznie, na pamięć. W 2éj klassie już trzeba było mówić po łacinie, z wolnością wyrażenia po niemiecku słowa, którego się nie wiedziało. Środkiem wykonania téj najuciążliwszéj powinności, było szczęśliwie znalezione, tak zwane signum, mała z drzewa ustrugana książeczka. Urządzenie to w tém było dziwaczne, iż ten tylko burę odniósł, kto ten znak nieszczęsny przez godzinę 12tą, w południe lub o północy miał przy sobie. Przezornie starali się go wcześniéj pozbywać, inni na ostatnią godzinę tak postrachem terminu nagleni, wszelkich używali środków ku zdradzeniu kollegów, którzy właśnie w tym czasie najwięcéj byli ostrożni. W ostatnim zawsze razie, kończyło się na tém, iż niespodziewane mocne uderzenie w kark kolegi, zmusiło go naturalnie z bólu, odezwać się przyrodzonym językiem i przyjąć sygnum na owę niebezpieczną godzinę, skąd wypływały bitwy, skargi i nieprzyjaźni. Gdy najniższéj normalnéj klassie, jedynie tylko naukę religii po polsku wykładano, rozumiałem przecie cokolwiek, czegom się uczył. Lecz właśnie to na złe mi wyszło. Gdy nam dano rozdział o *Otchłani*, w któréj dusze bez chrztu zmarłych cierpią, ucząc się w polu dumałem długo, czy to jest prawdą, czy to sprawiedliwie? Przyszedłem na lekciję z mocném oburzeniem, i z chęcią wynurzenia katechcie moich wątpliwości, szczęśliwy, że na jego lekcyi wolno było mówić po polsku — z zadziwieniem kolegów, bo nigdy nie było wolno odzywać się bez rozkazu. Ksiądz katechta słuchał cierpliwie, zmierzył spojrzeniem, z którego do-

świadczeni koledzy źle mi wróżyli, i nic nie odpowiedział, a w dobréj wierze obchodziłem przez parę dni mój tryumf. Razu jednego spostrzegliśmy w szkole nadzwyczajne zebranie się professorów, na których czele rektor po długiéj mowie mnie, który się ledwo domyślać mogłem o co rzecz idzie, wywołał na środek, otrzymałem chłostę, poczém zapisałem się własnoręcznie w czarną książkę jako bluźnierca,—pióro i kałamarz, których dotknąłem się, wrzucone zostały do wody, i jako heretyk siedziałem przez trzy miesiące na lekcijach w osobném miejscu. Ten wypadek zrobił mnie ponurym i cichym, tém więcéj, że po nim od niewyrozumiałych uczniów długo cierpiałem prześladowanie. Do nauk mało miałem ochoty, natomiast skłonniejszy byłem do dumania, mianowicie, w rzeczach religijnych; przejmowałem się błogą sercu miłością Boga, stojąc zawsze przy swojém, że niewinnych nie potępia na wieki. —

Mieszkaliśmy z bratem Andrzejem u wdowy, podupadłéj i już w wieku będącéj, która miała dwóch synów, nadzwyczaj żywych i rozpustnych, a którzy wraz z moim bratem, już do wyższych klass chodzili. Wdowa ta przeszło 50-letnia, w najwyższym stopniu przejętą była szlachetnością swego rodu, i swoją pięknością. Bardzo często nam powtarzała, że pochodzi od książąt Spicimirów, a z miasta często zadyszana wracała w trwodze, mówiąc, że przez całe miasto ściganą była od księcia Sanguszki Hieronima, który, jako dziedzic Tarnowa, i jako stary lubieżnik, znany był całéj okolicy. Ona znaną była z dziwacznéj pretensyi; w ubiorze przypominającym niezmiernie dawne czasy, chodziła zawsze upudrowana, zawsze prędko i zawsze się wachlując. Gośćmi byli dorośli studenci, po większéj części instruktorowie młodszych, noszący zawsze gibkie pręty, któremi często libry papieru przecinając, probowali sił swoich potrzebnych do ich metody nauczania. Starszy mój brat, będąc sam instruktorem, nie użył nigdy w ich sposób swéj władzy, i ja z mojéj strony starałem się być pilniejszym.

Uprzedzenia synów szczepu książąt Spicimirskich, dochodziły do wyższego stopnia, którym matka zupełnie zdawała się pobłażać; każdy nieszlachcic był prześladowany (w szkołach dodawano każdemu wyraz *de*, jeżeli był szlachcic), każdy chłop z drewkami przybywający, każda wiejska kobiéta z jarzyną, wytrzymać musieli, jako chamy prześladowanie. Mieli ci szlachcice jakowąś maszynkę drawnianą, która za przyciskiem jak żądło się wysuwała; *każdy chłop ma takie żądło*, wołano i ścigano z nią każdego. Służąca jedyna w domu, wśród pracy tak prześladowana, codziennie prawie płakała. Nieszczęście chciało mieć, że kuzyna naszéj szlachcianki, zgodzoną była za pannę służącą do mojéj macochy. Naturalnie, dwa tylko miesiące przy niéj wytrzymać mogła; żal i pomsta spłynęła także na mego dobrego ojca i na nas synów dla tego, że macocha w kłótniach z ojcem, często czyniła wyrzuty nasuwające nie małe podejrzenie, że nie jest szlachcicem. Cała więc familija zwróciła do nas poniżające przymówki; ścigano nas z żądłem, i dopominano się, aby nasze *de* z katalogu wymazane zostało. —

Najczęściéj więc z bratem uciekaliśmy w pole, tam nasze odbywając nauki. Po dwóch latach uznał ojciec konieczność umieścić nas gdzie indziéj; nastręczono mu krawca, który tanio się zgodził; nienajgorsze miał mieszkanie lecz w parę jednak tygodni z tegoż się wyprowadził, i mieścił się z żoną, dziećmi, czeladzią i nami w jednéj niewielkiéj izbie od tyłu. Był to pijak w całém znaczeniu wyrazu. Do szykowni idąc, zwracał na siebie powszechną uwagę, najgłośniéj w rękę trąbiąc, w domu wszystko wywracał, bił, a dane do roboty sukno na zastaw wynosił; trafiało się, że nasza garderoba, nie tylko z kuferka, ale i ta, którąśmy na noc zdjęli, tego losu doznała. Tym sposobem nieraz po kilka dni nie szliśmy do szkoły, znosząc głód, zimno, przekleństwo nieszczęśliwéj żony i skwirk zgłodniałych dzieci. Przymuszony zostać w zimie często przez cały dzień w pościeli, nie mając co wdziać na siebie, z szcze-

gólném zamiłowaniem odmawiałem modlitwy ze staréj znalezionéj książki, za dusze w czyscu cierpiące. Że według napisów nad temiż modlitwami, można było jednę po sto dni z mąk wybawić, inną po więcéj, prowadziłem formalny rejestr dusz przezemnie wybawionych, a nauki zaniedbywałem. Szczęściem przybył ojciec i wyrwał nas z tego strasznego miejsca. Przenieśliśmy się do jednego z kancelistów *Fori nobilium;* mieszkanie jego, po opuszczoném, pańskie nam się zdawało. Miał on żonę dwa razy od siebie wyższą, niezmiernie brzydką, krzykliwą, ale która przywiązaną była do niego z duszy, i miała dobre serce. Sam był rodem z Węgier, niezmiernie powolny, przystojny, i z duszy także butelkę lubiący. Dla tego trzymany był krótko, równo z nami dziećmi, na rękę żony we wszystkich potrzebach jak my patrzący. Zabiegając tylko, aby się mąż nie upijał, była z resztą nad możność hojną. Po kwartale, w którym ojciec za nas raty zapłacił, lub po piérwszym każdego miesiąca, gdy mąż pensiję odebrał, mieliśmy wszystkiego do zbytku, za to koniec kwartału był zawsze smutny dla zupełnego braku funduszów. Szły znowu na zastaw rzeczy z domu, nawet nasze suknie. Wtedy nasz gospódarz miał wolność więcéj z domu wychodzić i upijać się bezkarnie. Gdy był gdzie zaproszonym, wracał on w najlepszym humorze, łajany odpowiedział: co ty wiesz głupia? co ty znasz? gdybyś ty wiedziała jak my tam pili! —

Raz późno w nocy przyszedłszy, postrzegł światło księżyca rzucone na stos garnków, podrzędnie aż do sufitu za piecem ułożonych. Zdało mu się, że to jest djabeł. Podżegany przez nas, nuż machać laską tak dobrze, że wszystkie garnki potłukł. Nazajutrz był w domu wielki kłopot i późno jedliśmy objad. Nie pamiętam skąd dostał mi się przywilej chodzić z moim gospodarzem do szynkowni, w których się upijał. Była to najczęściéj brudna komora u Żyda, gdzie pito miód, albo wino węgierskie. Szczęściem, że do sklanek prawie żadnego nie miałem udziału, lecz za to bułki do przekąski da-

wano, o które pijacy wcale nie dbali; sam je zjadałem, nie mogąc się wydziwić, że tacy rozumni panowie, wolą pić wino niżeli jeść bułki. —

Jeździliśmy parę razy do domu na wakacije, gdzie coraz było gorzéj i smutniéj. Całe dni trawiliśmy w polach i lasach, nie pokazując się prawie macosze, która obok wszystkich swoich przymiotów, nawykła do pijaństwa, któremu towarzyszyło bicie sług i chłopów. Jednego roku w zimie, niebezpiecznie był ojciec zachorował, i sąsiedzi przysłali po nas do Tarnowa furę, abyśmy umierającego ojca pożegnać mogli. Stało się to bez wiedzy macochy. Przybywszy, zastaliśmy ojca u spowiedzi; przy łóżku obok krucyfiksu świece gorzały. Był to właśnie moment, po którym ojciec podpisał testament. Treść obudziła gniew téj nieszczęśliwéj kobiéty do tego stopnia, iż zapisane jéj kopersztychy i obrazy, z pokoju chorego zdzierała ze ściany, i z krzykiem największym w obec księdza, pisarza i świadków, którzy na ten widok zmartwieli, ku łóżku miotała. Ojciec modlił się tylko po łacinie. Gdyśmy na to weszli, gniew jéj zwrócił się ku sąsiadom obecnym, że na to nas sprowadzili, abyśmy majątek po ojcu zabrali, ją w koszuli puścili i tym podobne. Ojciec rzucił na nas żałosném okiem, widać było na nim mocne poruszenie, kazano nam się oddalić. Płacząc przepędziliśmy noc całą w izbie czeladniéj. Uzyskaliśmy na chwilę przystęp spokojny do ojca, pobłogosławił nas i kazał do szkół odjechać. Płakali nas domownicy, szczególniéj poczciwy Żyd arędarz, koło któregośmy przejeżdżali. Obdarzył on nas łakotkami różnemi, dał po dwa złote w trzechgroszówkach, summa, jakiéj jeszcze nigdy nie miałem. Że mój brat starszy ukończył gimnazyum w Tarnowie, przeniesiono go do Krakowa na uniwersytet i mnie przy nim, gdzie byłem w drugiéj gimnazyalnéj klassie. Nieszczęście było zawsze jakieś przywiązane do naszych stancyj studenckich. W Krakowie, umieszczono nas u stolarza, na końcu ulicy Wrocławskiéj, w izbie, w któréj heble i piłki w nieustannéj były

robocie. Stolarz ten był razem tokarzem, mającym swój warsztat w małym sklepiku na ulicy Grodzkiéj. Tam musieliśmy chodzić na śniadanie i na obiad, czekać po godzinach, jeść najniegodziwiéj, a obiad kończył się na tém, że łyżki i półmiski małżeństwo sobie na głowy rzucało. Był to widać pijak i oszut, który wzięte od ojca pieniądze stracił, na żywienie nas wystarczyć nie mógł, i od żony za hultajstwo swoje karę odbierał. Tak włócząc się przez jesień, od szkoły do tokarni, stamtąd do stolarni, głodni i przemokli, zostaliśmy bez ratunku. Obcy dopiéro człowiek wpodle nas mieszkający, przez szczególną troskliwość, wywiedział się o stanie naszego ojca, przyszedł do nas i podjął się nas umieścić gdzie indziéj, pewny będąc, że mu tego postępku ojciec za złe nie weźmie. Uściskaliśmy dobroczyńcę naszego, niebawnie przenieśliśmy się na ulicę Śtéj Anny, blisko szkół, do gospodarza porządnego, gdzie już zastaliśmy kilku uczniów mieszkających. Rajem zdało nam się to nowe mieszkanie; stancije były porządne, stół jak najlepszy, ludzie dobrzy, o nas troskliwi, i weseli koledzy. Wkrótce nadeszła wiosna, we mnie ożywiła się najżywiéj miłość dawnéj swobody, biegania po górach i łąkach, najczęściéj samotnie. Brat mój zaczął życie akademickie, miał swoje prace, przyjaciół, oddawał się z zapałem poezyi; ja zostawiony byłem samemu sobie, w naukach zupełnie się opuściłem, celowałem tylko w pracach piśmiennych po łacinie, które sam nie wiem jakim sposobem, łatwo mi przychodziły. Najulubieńszą moją zabawą było zbieranie i zasuszanie ziół i kwiatów; i na tém całe przedpołudnia trawiłem często na górze Bronisławy. Książki, będąc już lat kilka studentem, żadnéj jeszcze nie czytałem. Lubiłem i umiałem różne pieśni, ale nigdy mi przez myśl nie przeszło, ażeby można jakowe wiersze czytać. Historyczne pomniki Krakowa były mi najobojętniejsze, gdyż żadnego o historyi polskiéj wyobrażenia nie miałem; wiem tylko, żeśmy spółuczniów Niemców bili i przezywali, jako Niemców. —

Urywek,

Z PODRÓŻY PO KRAJU W ROKU 1842.

Jedziémy do Izbicy (w Kujawach). W obszernéj murowanéj oberży rzempoli nieznośnie kilku Żydów, słychać hołubce młodzieży wiejskiéj. Dawniéj w téj saméj oberży słynne bywały reduty, obywatelstwo zjeżdżało się ze stron dalekich, piękne lubo wymuszenie strojne kobiéty suwały się zręcznie w kadrylach, a dzisiaj zamiast nich, dzięki niebu, wywijają mazura ogorzałe dziewuchy, z prostym, swobodnym, szczerym uśmiechem, krzykiem, z miną na któréj widna prostota. Wszedłem do izby szynkownéj, stanąłem w kącie, a napatrzywszy się do woli na wesołych tancerzy, na gustowne ubiory Kujawianek, nasłuchawszy się piosnek przykieliszkowych, rzuciłem się strudzony na łóżko; — ale niegodziwe skrzypki, których tony przedzierały się aż do mego pokoju, nie dały mi ani oka zamrużyć.

Wyjechałem nazajutrz z widną jeszcze przed oczyma całą hulanką w karczmie; bezsenność zamykała mi powieki. Chciałem zasnąć, ale gdzie tam! zaledwiem zaczął drzémać, aż tu *stuk....* myślałem że już leżę na ziemi, zawadziliśmy bowiem o kamień wjeżdżając do Lubrańca. Nie większe to miasteczko od Izbicy, Starozakonnych mnóstwo; kościół, bóżnica i dwór dziedziczki, stanowią celniejsze budynki. — Brześć-Kujawski należy już do porządniejszych miasteczek, wiele murowanych domów, kościołów i t. d. oraz położenie na wzgórzu, czynią

go wcale ozdobnym. Zamek brzeski należał niegdyś do obronniejszych w kraju, miał kilkanaście komnat, basztę, most zwodzony, był mieszkaniem starosty. Z każdego placu lub possessyi miéjskiéj wnoszono do zamku na Śty Marcin po denarów 3, oprócz tego rzemieślnicy i przekupki płacili po 12, a mieszczanie na Święta Bożego Narodzenia uiszczali pewną kwotę na sarnę i strucle, nadto targowe z trzech jarmarków czyniło corocznie kilkadziesiąt ówczesnych złotych. Tylko mieszkańcy przedmieścia wolni byli od czynszów, czyniąc miastu rozmaite posługi. Do starostwa należały wsie: Chwaliborz, Sokołowo, Staromieście, Rzadkawola, Kłodzia, Krusino, Mnichowice, Lekarzowice.

Miasto na mocy przywileju Zygmunta Augusta, datowanego w Piotrkowie w ostatnią niedzielę przed Trzema-Królami (r. 1549) pobierało różne opłaty i czynsze, mianowicie od piwa gdańskiego, rur wodnych miejskich, jatek, wiktuałów, ogrodowin, od szewców, zdunów, kramów, postrzygalni, od domków pod murem leżących i t. d. — Osiedli tu od najdawniejszych czasów Żydzi, mieli przywilejem króla Zygmunta z r. 1538 zastrzeżone, aby nie zajmowali w mieście więcéj placów jak piętnaście. Wszakże nie długo potém potrafili oni nakłonić mieszczan, i w r. 1558 stanęła ugoda, dozwalająca im dalszego rozszerzania się w mieście; żałowali tego kroku, ale darmo się upominali o to, czego się sami zrzekli (*).

Z Brześcia do Włocławka piaski tak wielkie, iż musieliśmy zwolnić jazdy i prawie żółwim wlec się krokiem, — a do tego słońce piekło nieznośnie i kurzawa zaduszała powietrze.

Dzień spędzony w Włocławku miłe mi pozostawił wspomnienie. Ulice szerokie, domy piękne, ruch handlowy, Wisła ze swemi statkami, kościoły, historyczność, są to przedmio-

---

(*) Wszystkie te szczegóły, opuszczone są w *Starożytnéj Polsce* Balińskiego i Lipińskiego.

ty dość ważne; i sądzę, że gdyby kto okiem poety-badacza spojrzał na polską krainę, znalazłby bogate pole mało co tknięte, a więc nowe, zajmujące. Oto i w Włocławku, jak ważném byłoby zbadanie zwyczajów i sposobu życia żeglarzy wiślańskich; od czasów Klonowicza przedmiotu tego nie obrabiano, a i w jego poemacie *Flis*, jest tylko powierzchowne odkreślenie obrazu;—ileż zaś jeszcze pozostaje odcieni do pochwycenia w codzienném ich życiu, w ich przygodach, charakterze, i t. p.

Jeśli co urozmaica pobyt w Włocławku, to zapewne ruch handlowy. Lubo to było w maju, przecież mnóstwo wozów ze zbożem ciągnęło przed spichrze; statki, to odpływały, to przybijały do brzegu. I trudno wspanialszego widoku nad toczące się nurty Wisły, unoszące złotą naszę przenicę, jedyny nieledwie produkt, który za granicą zbywamy, — z drugiego zaś brzegu wznoszące się wzgórza piasczyste, okryte borami. Wisła wielkiem jest źródłem bogactw, *nie oceniono dotychczas jéj wartości!!..*

Wspaniała jest katedra włocławska, ale ją oszpecono przed kilku laty gzympsami i wytynkowaniem gotyckich okien; dziwnie to wygląda przy zczerniałych wiekami murach. I wnętrze świątyni pobielono—zniknęła tam piękność dawnéj budowy i starożytność, tylko kaplice i presbiteryum ocalały, i zachowały dawną swą postać.

Do cech charakteryzujących miejscowość Włocławka, policzyć można ogromne jego śpichrze. Są to gmachy cztero lub pięcio-piętrowe; widok ich zdala dziwne sprawia wrażenie na podróżnym, po raz piérwszy tu przybywającym. Nadto nadmienić wypada, iż w Włocławku jest seminarium, zamek, i nowozałożony ogród.

Z Włocławka do Krośniewic robią szossę, dotąd skończono dopiéro około dwóch mil. Przyjemnie to jechać gładką drogą, nie lękać się co chwila wybojów, zatopić się w myślach, zapomnieć o troskach, o całym świecie. Dla tego téż

piaszczysta droga, która się wkrótce znowu zaczęła, i wołanie woźnicy, niemile przerwały moje dumania. — Spodziewać się należy, iż za lat kilkanaście szosse aż do Krośniewic dociągnioném zostanie, ale za lat kilkanaście dopiéro, gdyż budowę tego traktu uskuteczniają szarwarkiem.

— „Macieju! a prędko będziemy w Kowalu?“ — „*Przecież do niego wjeżdzamy!*“ — W istocie niktby z razu nie pomyślał, że to miasteczko, gdzie się król Chłopków rodził; kościół tylko murowany, a prawie wszystkie inne domostwa drewniane. Ale proszę-no widzieć bóżnicę kowalską, drewnianą, papuziastego koloru, z białemi gzympsami, oraz różnemi essami, floressami, dalibóg niewiem do jakiego ją stylu policzyć, czy do wschodniego, chińskiego lub maurytańskiego, zostawiam komu innemu rozwiązanie téj zagadki. —

Dawniej starostwo Kowalskie składały wsie: Rachutów, Pełczyce, Łagiewniki, Wistka, Dominów, Nowawieś, Środy, Telesna, Skoki, folwark Krzewecki i kilka młynów.

Miasto Kowal albo Kowale, należało do rzędu mniéj znacznych; w czasach swojéj pomyślności liczyło zaledwie około 250 domów, najwięcéj dobrodziejstw pozyskało od Władysława Jagiełły, otrzymawszy przywiléj datowany w Gębicach w wilią Ś. Trójcy 1428 r., uwalniający mieszczan od różnych ciężarów. Na początku siedmnastego stulecia powietrze i ogień wyludniły i zniszczyły miasto, tak, iż osiadłych domów pozostało tylko 98. Królowie nadawali Kowalowi różne przywileje, które wszakże nie wiele polepszyły stan jego. — Między przywilejami kowalskiemi znajdujemy jeden z r. 1615 nadany przez Zygmunta III, ustanawiający przepisy dla bractwa Ś. Małgorzaty, wspominam tu o nim dla tego, iż się stał powodem następujących zatargów. X. Pleban Przeczkowski, urządziwszy bractwo, zapragnął powiększyć swój wpływ i wezwał wszystkich mieszczan, aby regularnie uczęszczali na msze, i śpiewali pieśni nabożne wspólnie z literatami. Nie usłuchano tego rozkazu. W tym czasie (1630) zjechali do

Kowala lustratorowie królewscy; na skargę plebana wytoczyła się sprawa, a mieszczanie, nie tylko że przegrali, ale nadto zagrożono im opłatą cztérech mark rocznie, jeżeli się nadal od śpiéwania wyłączać będą.

Zamek kowalski był dosyć obszerny lecz nie bardzo obronny, bo go tylko drewniana otaczała ściana.

Malownie przedstawia się Gostynin, a raczéj jego kościół ewangielicki, położony wśród gaju i bagien. Jest on przerobiony z dawnego zamku, który, jak zapewne każdemu wiadomo, służył za więzienie znakomitym jeńcom w czasie panowania Zygmunta III. — Samo miasteczko, niedawno po pogorzeli, nieszczególnie odbudowane zostało. Pożar wspomniony miał miejsce w roku 1811, kościół i prawie wszystkie domostwa stały się pastwą płomieni, stopiły się dzwony, studnie nawet powysychały. Była to rocznica imienin Napoleona. Tameczny konsyliarz podprefektury, chcąc tę uroczystość świetnie obchodzić, kazał bić z moździerzy, i to się stało przyczyną pożaru. Pogorzały kościół wyrestaurowano, ale mury jego są słabe: — szkoda! gdyż to ładna budowla. Ma także Gostynin ogród spacerowy, ratusz, jatki, co wszystko, jako w małém miasteczku, wartém jest widzenia.

Gombin nie wielki, smutny, nie przedstawia nic ciekawego. Świątynia ewangielicka, lubo kształtna, nowa, nie długą rokuje trwałość, — Kościół katolicki starożytny, podobno jeszcze przez Ziemowita założony, ale wielce zniszczony przez kilkakrotne pożary. Nad bocznemi drzwiami kościelnemi wmurowana jest głowa z ciosowego kamienia, pięknego dłuta, — twierdzą iż przedstawia Ziemowita.

Z Gombina do Płocka dwie mile, zboczyłem więc naumyślnie dla widzenia tego miasta. Po-za wsiami Dobrzykowem i Tokarami, znanemi ze swych śpichrzów, ukazał się Płock na wzgórzu, a u podnóża Wisła. Zanim wyjedziesz na most, zwróci twoję uwagę dom zajezdny w Radziwicy, po lewéj stronie drogi leżący, śliczna budowa świadcząca o wy-

twornym guście dziedzica. Most spoczywa na 46 izbicach, budują przy nim ładne pływające łazienki. Tuż za mostem na wzgórzu, wznosi się wspanaiały tum, wprawdzie nie tyle piękny co katedra włocławska, zawsze jednak należy do celniejszych gmachów w Polsce; kto chce poznać ten przybytek i jego dzieje, niech przeczyta opis Płocka skreślony piórem Gawareckiego W. Hip.

Wyszedłszy z kościoła, błądziłem po przechadzkach nad Wisłą i przed rządem gubernialnym założonych. Kiedy widzę jakie piękne miasto, albo spacery, albo budowę, lub okolicę, czuję wtedy pewien rodzaj szlachetnéj dumy, zadowolenia, i gdyby w téj chwili był ze mną jaki cudzoziemiec, zapewne-bym mu powiedział: „*patrzaj, to nasze!*“ Kiedy zaś daleki od strzechy ojczystéj, zwiedzając obce kraje, podziwiam piękność natury lub sztuki, wtedy mimo całego uwielbienia, wkrada się do mego umysłu jakieś nieukontentowanie, jakaś zazdrość, która mi szepce: „*szkoda, że to nie nasze!*“

Płock słusznie policzyć można do ozdób naszego kraju; gdyby jeszcze porobiono spacery na wzgórzu około tumu, miejscowość wiele zyskałaby na piękności. Rzućmy tylko jeszcze okiem na ratusz, na niektóre gmachy, na teatr i t. p. poznamy i całe miasto.

Wracając do Gombina, jechałem przez Łąck, majętność słynącą z swoich budowli gospodarczych, dla widzenia których, z dalekich stron przybywają agronomowie. Urządzenie tutejszéj gorzelni wzorowe, gmach w wytwornym guście, o piérwszém piętrze, pokryty cynkiem. Również stodoły, owczarnie, i inne zabudowania, są z wielkim nakładem wzniesione i cynkiem kryte. Zdworskie jezioro w pobliżu będące przydaje Łąckowi, już i tak pięknemu, jeszcze więcéj powabów. — Zasłyszałem od tutejszych wieśniaków zajmujące podanie.

Niegdyś, jak dawna bardzo wieść niesie, Zdworskie jezioro ledwie w części było tak wielkie jak dzisiaj. Wtém, razu pewnego zaszumiała woda w jeziorku, na błękicie nieba osia-

dła czarna chmura, a runąwszy ku ziemi, rozdarła jego brzegi, zalała pobliskie błonia, i odtąd w swoim nowym obrębie, wesoło zajaśniało jezioro, odbijając w szklistéj powierzchni malowane wzgórza, ponure bory sosnowe. Skąd się ta chmura wzięła, i dla czego tu nad jeziorem opadła?.... Lud poczciwy, jak wszędzie jeszcze zabobonny, widział w tém cóś nadzwyczajnego, a z pogadanek i domysłów, urosła następująca powieść.

Gdzieś daleko nad Baltykiem, leżał ogromny kamień dyamentowy, a tuż w pobliżu jezioro. Rzecz prosta, jako sąsiedzi kamień i woda znali się dobrze, rozprawiali z sobą i żyli w najlepszéj zgodzie. Aż tu razu pewnego ni stąd ni zowąd poswarzyli się o to, kto z nich jest chybszy, i stanął zakład, kto wprzód zaleci do Zdworskiego jeziora. A tak kamień i woda zaczęli pędzić, jak długo nie wiadomo, dość że woda wpadła do jeziora, i wygrała zakład. Kamień rozpękł się z żalu i połowa jego, zrobiwszy wąwóz w pobliskim lesie, poleciała gdzieś w świat, a druga połowa zatonęła w jeziorze i do dziś dnia w głębi spoczywa.

Niniejsze podanie ma obrobić Józef R..... mieszkający w Gombinie, który w chwilach swobodnych lubi oddawać się literaturze, i napisał już kilka poematów, dramat *Karól Śmiały* i wiele pomniejszych poezyj, dotychczas zostających w rękopiśmie.

W Gombinie już się nie zatrzymywałem i stanąłem na popas w Słubicach, wsi dziedzicznéj Mikorskiego. Z razu nie chciałem wierzyć, że to wieś, przywykłem już bowiem do nędznych lepianek, a nędzniejszych jeszcze chłopów i dziedziców ..... Spojrzyjmy tu na piękne domki wieśniacze, na obszerne zabudowania gospodarskie, na pałac, prześliczny ogród, świątynię rzymską, arabską, most chiński, a przyznamy, że rzadko i w Niemczech znaleść piękniejszą majętność.

W Słubicach dziwném zdarzeniem znajduje się *kondor;* przed kilku laty burza zagnała ich dwóch w tutejsze strony, jednego z nich zabito, a drugiego żywcem pojmano. Nie jest to już ów dzikich skał mieszkaniec, z śmiałém spojrzeniem,

łaknący krwi.... ponury, stracił on tu nawet swoje piękne pióra, bo tęschni do stron swoich!

Iłów, małe miasteczko, liczy zaledwie około dwudziestu domów, i gdyby nie wieś z nim złączona, nadzwyczajby się małém wydawało. Dawniéj miasteczko było w dość kwitnącym stanie, miało wolność palenia wódki, piwa, i inne przywileje, które mieszczanie z niedbałości utracili.

Do upadku Iłowa, najwięcéj przyczynili się Szwedzi. W czasie wojen za Augusta II stał tu garnizonem pułkownik Horn; cała ludność uciekła w lasy, Szwedzi różnemi środkami starali się zwabiać mieszkanki, używali różnych do tego środków, np. udawali się do lasu wywołując po polsku rozmaite *imiona* i t. p. a następnie je więzili. Po bitwie Półtawskiéj, ukazali się tu Kozacy, i po małéj utarczce z Szwedami, ci ostatni na zawsze stąd ustąpili, miasto zaś stało się pastwą płomieni. Od téj chwili już się nie wzniosło.

Kościół tutejszy niewiadomo kiedy stawiany, gustowny, mały, widocznie chyli sie ku upadkowi, gdyż mury bardzo się rysują. Organy niegdyś z Łowicza przeniesione, pięknego są głosu, lecz potrzebują umiejętnéj naprawy.

Dziedzic Iłowa, Lasocki, jak słyszałem posiada wiele dawnych dokumentów; możeby między niemi znalazły się materijały do dziejów miejscowych? Upraszamy więc go w imieniu miłośników ojczystych pamiątek, aby dokumenta takowe nie trzymał dłużéj w ukryciu. Wychodzi np. Starożytna Polska, Wojcicki wydaje teraz Bibliotekę Starożytną, nadto tyle pism czasowych mamy; — jest więc gdzie powierzyć wszelkie zabytki piśmienne naszéj historycznéj przeszłości. Ileż to bowiem szacownych pomników zaginęło tym sposobem, iż przechowywane w domach prywatnych, następnie przypadkiem zniweczone zostały: a więc te rękopisma, które jeszcze ocalały, powinniśmy okazać światu, i od zatracenia umyślnego ochronić!...

Józef P....

WYSPA

CZYLI

CHRYSTYAN I JEGO TOWARZYSZE.

(przekład z Lorda Byrona).

PIEŚŃ II.

I.

Jakże na Toobaju (*) brzmiały śpiewy miło,
Gdy nad koralów brzegi słońce się chyliło!
„Pójdźmy, rzekły dziewice, gdzie są chłodne gaje,
Słuchajmy, tam świegocą liczne ptasząt zgraje;
Gołąbek dziki grucha w zarośli gęstwinie,
Jak głos, który z mieszkania bogów ku nam płynie;
Po mogiłach rosnący kwiat będziem zbierały,
Bo ten kwitnie, gdzie mężnych zwłoki pozostały;
Patrzyć będziem, ku zorzy wieczornéj zwrócone,
Jak księżyc luby pląsa przez liście zielone.
A gałązka, co skrzypi i tak rzewnie kwili,
W nas i lubość i smutek w jednéj wzbudzi chwili;
Lub się wyżéj dostawszy, patrzmy jak nad wodą
Fale z skał olbrzymami próżną walkę wiodą,
Jak skały odpychają zawiedzioną pianę.
Jak tu pięknie! O, jakież szczęście niezrównane

(*) Trzy pierwsze oddziały wzięte z prawdziwego śpiewu mieszkańców wysp Tonga, którego przekład nierymowy znajduje się w Marinera *Opisie Wysp Tonga.* Wszakże Toobonai nie mieści się w téj gromadzie, lecz jest jedną z wysp, na których Chrystyan i buntownicy szukali schronienia. Poczyniłem dodatki i zmiany, lecz trzymałem się pierwowzoru, ile tylko możność dozwoliła. *Lord Byron.*

Poi tych, którzy mogą, nieznając trosk wcale,
Błądzić gdzie taka cisza, tylko szumią fale!
Wszak i ocean czasem łagodzi swe lica,
Głaszcze wzburzoną grzywę przy świetle księżyca.“

II.

„Tak jest—zrywajmy kwiatki na zmarłych mogile,
Jak duchy w błogich gajach, biesiadujmy mile;
Potém nurzać się będziem w morskich wód kąpieli,
Potém legniem na miękiéj z murawiéj pościeli,
A z téj płochéj igraszki wyszedłszy mokrémi,
Namaścim ciało nasze olejki wonnemi.
Spleciemy wiankami z kwiatów po grobach zbieranych,
Które wykwitły z przodków naszych z męstwa znanych.
Patrz! noc bliska, ptak nocny nas wzywa do chaty,
Pod nogami nam chrzęstnią rozścielone maty;
Wnet pląsy z pochodniami w dolinie się zaczną,
Rozsieją w koło jasność dziwną i opaczną.
My także tam będziemy, odnowim wspomnienie
Świetnych lat upłynionych, drogich nieskończenie,
Nim muszle bój głoszące swym szczękiem znać dały,
Iż po raz pierwszy płynie do nas wróg zuchwały.
Niestety! on przyczyną, że krew ludzka płynie,
Przez niego chwasty rosną w pól naszych dziedzinie;
Nieznana teraz roskosz co tyle zachwyca,
Nie możem błądzić z miłym przy świetle księżyca.
Niech tak będzie:—*on* wskazał nam jak staczać boje,
Dzwigać ciężką maczugę, i strzał miotać roje;
Teraz niech owoc zbierze za pracę doznaną!
Lecz bawmy się dziś! jutro odpływamy rano.
Nuż do pląsów, nalejcie nam tykwiane czasze,
Wychylcie do dna!—jutro niepewne, nie nasze.

Letnią na się wdziejemy szatę okazałą,
Kształtną kibić przepaską otoczymy białą;
Kwiat zdobi wiosnę, i my wieńcem strojmy głowę,
Na szyi niech paciorki błyszczą koralowe;
A tak świetniejsze barwy sprawią sprzeczność miłą,
Z ciemną piersią, gdzie serce z taką bije siłą.“

III.

„Lecz już pląsy skończone—wstrzymajcie się chwilę;
Ach, zostańcie! jeszcze się uśmiechnijcie mile.
Jutro płyniem do Mooa, w nieprzyjazną stronę,
Lecz nie dziś – dziś dla uciech serca przeznaczone.
Wijcie wianki i nam ich udzielcie w nagrodę,
Wy roskosznéj Likooi czarodziejki młode!
Widzieć tę wdzięczną postać, oto roskosz cała!
Piękność, co tak łagodna, a tak silnie działa,
Podobna do tych kwiatów, co brzeg morza stroją,
I daleko po wodach szerzą wonność swoją.
I my ujrzem Likooę; cóż rzekłem? o nieba!
O, biedne serce moje—jutro płynąć trzeba.“

IV.

Taki śpiew się rozlegał—dawnych czasów łony,
Nim Europę wiatry przygnały w te strony.
Mieli oni swe wady– kogóż bez wad znamy?
Lecz tylko dzikich wady—my podwójne mamy:
Ogładę śmieszną z dawnéj dzikości ostatkiem,
Którą w sobie zatrzymał człowiek z swym upadkiem.
Któż obłudy własnemi nie widział oczyma,
Modłów Abla złączonych z czynami Kaima?
Kto chce widzieć, niech z okna w różne wyjrzy strony,

Znajdzie świat starszy więcéj niż nowy spodlony,—
Ten nie *nowy* już chyba w Kolumba półkuli,
Gdzie wolność swe bliźnięta—dwóch olbrzymów tuli,
Gdzie Czymborasso okiem Tytana choć wnika
W powietrze, ziemię, wody — nie zna niewolnika.

Taka to była piosnka z podania lat dawnych,
W któréj skryta, choć słaba, pamięć przodków sławnych;
W pieśni, gdzie sława w jednym pozostała brzmieniu,
Któréj urok pogrąża w boskiém zachwyceniu;
Co dla dziejów badacza czczym zda się pomnikiem,
Lecz dla ucha jest całéj przeszłości rocznikiem;
Achilles młody, gdy go dźwięk lutni zachwyca,
Zamyśla w męstwie swego przewyższyć rodzica:
Tak urywek z ballady dawnéj pozostały,
Któréj głoski po skałach i po wodach brzmiały,
Lub po łąkach mruczenie strumyka głuszyły,
A któréj górne echa swym głosem wtórzyły,—
Do prawych serc, do ucha, z większą mocą sięga,
Niż wojny ulubieńców zdobywcza potęga;
Porywa, kiedy dawnych hieroglifów głoski
Są przedmiotem prac mędrca, lub studenta troski;
Wznosi, gdy dziejów księgi trudzą uciążliwie,—
Najpierwszy, świeży pączek na uczucia niwie.
Takim był ów rym gruby—grubych ludzi pienie—
To w odludnym Normandzie wzbudzało natchnienie,
Szedł zatém i zwyciężał; i takie są wszędzie,
Gdziekolwiek wróg oświecać i niszczyć nie będzie:
Cóż więcéj nasze rymy sztuką utworzone,
Zdziałać mogą, jak wzruszyć serce nieuśpione.

VI.

A teraz owo słodkie, nieuczone pienie,
Przerwało na niebiosach roskoszne milczenie;
Sen co w letnie upały przyjemny jest tyle,
Błogie na Toobonaju poobiednie chwile,
Gdy każdy kwiat rozwity, tak mocne powietrze,
Drży palma, gdy się z jego piérwszém tchnieniem zetrze,
A piérwszy wietrzyk cichy wód ledwie dotyka,
I z chłodem do jaskini spragnionéj przenika;
Gdzie młody cudzoziemiec u śpiewaczki gości,
Dał jéj poznać trapiącą roskosz namiętności,
Roskosz, co każdém sercem, a tém silniéj władnie
Temi, którzy nie wiedzą, jak je stracić snadnie;
Témi, co nowym ogniem powolnie trawieni,
Jak męczennicy cieszą się pośród płomieni;
Taką się pobożnością w zapale unoszą,
Że śmierć największą w życiu jest dla nich roskoszą.
I giną; bo nic duszą nie pojmujem całą,
Coby w życiu doczesném téj śmierci zrównało;
A dumając o niebie, o lepszéj przyszłości,
Kończymy na marzeniu o wiecznéj miłości.

VII.

Tam była postać luba w owéj dzikiéj ziemi,
Kobiéta wzrostem, chociaż dziecko laty swémi,
Jak liczą wiek dziecinny zimne nasze strony,
Gdzie wszystko oprócz zbrodni ma wzrost opóźniony.
To dziecinnego świata — nieskażone dziécie,
Tak miła, ognia pełna, zawczesna na świecie;
Jak noc ciemna, noc wszakże z gwiazdami wszystkiémi,
Lub jaskinia kryształy lśniąca rodzimémi;

Urok jakiś i mowa w jéj oczach się skrywa,
Postacią istna Wenus, kiedy w konsze pływa,
I w koło niéj amorków małych buja tyle,
Równą tchnąca roskoszą jak piérwsze snu chwile;
A przytém pełna życia — bo często na lice
Rumieniec się przeciska, wyda tajemnicę;
Od spieki krew na szyi widniejszą się staje,
I cerze orzechowéj sklniącą barwę daje,
Jak koral, co się w metnéj czerwieni głębinie,
I nurka w purpurowe pociąga jaskinie.
Takiém mórz południowych owo dziécie było,
Jakże do wód podobne uczuć swoich siłą,
Bo na sobie dźwigało łódź szczęścia swych braci,
Smuciło się, gdy który z nich swe szczęście traci,
Nie czuło jéj namiętnie łono zachwycenia
Jakiém darzyło; a jéj słodkiego marzenia,
Nie ćmiło doświadczenie, ten probierczy kamień,
Który z wszystkiego ściera pozłotę omamień.
Nie lękała się złego, bo je znała mało,
Co znała, to wnet — wkrótce zapomnieć się dało:
Jéj śmiechy, łzy mijały, jak tchnienie wietrzyka,
Wód jeziora nie wzrusza, lecz słabo dotyka,
Gdy głębi nikt nie mierzy, a górna krynica
Zwierciadło ciche, miłe, swą danią podsyca.
Aż jaskinię Najady trzęsienie zawali,
Wstrzyma źródło i szybko przebieży po fali,
I zmieni żywe wody w bagno zgniłe, mgliste,
Gdzie się lęgną płazy i gady nieczyste!
Czy ją takiż los spotka? W téj wieków przemianie
Ród ludzki prędzéj jeszcze istnąć poprzestanie;
Upadną, lecz upadną wraz z światy wszystkiémi,
Wstaną, jak duchy czyste, gdy byli prawémi.

VIII.

Któż jest on! to północy modrookie dziécie?
Z wysp więcéj nam znajomych, niemniéj dzikich przecie;
Wysp Hebrydzkich potomek miły, pięknowłosy,
Gdzie szumi Pentland, wichrów rozchodzą się głosy;
Ryczące wiatry jego kolebkę wzruszały,
Dusza i ciało zwolna do burz nawykały,
Dzieckiem będąc, gdy okiem wiódł po oceanie,
Od téj chwili wziął sobie wody za mieszkanie.
Wody były dumania jego powiernikiem,
Rodzinnych jego pustyń skalistych wspólnikiem,
Jedynym przestrzegaczem w młodych lat niedoli,
Gdziekolwiek wiatr i fale łódź niosły w swawoli;
Niedbały był na wszystko, szedł za przygodami,
Karmiony pieśnią dawną, kraju podaniami;
Wyglądał szczęścia, dość miał do cierpienia siły,
Wszystkie mu czucia znane, prócz rozpaczy były.
On pod niebem Arabii byłby dzielny, śmiały
Wędrowiec, jakich stepy kiedybądź widziały,
I zniosłby pragnienie w dzień parny, gorący,
Jak Ismael na pustyń okręcie jadący; (*)
Na brzegach Chili byłby wyniosłym kacykiem,
Upornym na Hellady górach buntownikiem,
Zrodzony pod namiotem, może Tamerlanem,
Na tronie może władcą z niezdolności znanym.
Ta sama bowiem dusza, która sobie życzy
Dostąpić władzy, wreszcie gdy ją odziedziczy,

(*) »Okręt pustyń« wschodnia przenośnia, zamiast wielbłąda lub dromadera, i słusznie tak są zwane, bo piérwszy z nich wytrwały jest na pragnienie, drugi z szczególną chyżością odbywa podroże.

Nie mając innéj pastwy, siebie dręczy srodze,
I w końcu jest zmuszony cofać się w swéj drodze, (*)
W bolach szczęścia szukając; i to właśnie było,
Co Nerona sromotą Rzymu uczyniło.
Imiennik jego w niższym stanie urodzony,
Żył w mierności, lecz z innéj stał się sławnym strony: (**)
O każdym słusznie sądźmy, gańmy ich za winy,
Lecz bez tronu jak małe byłyby ich czyny!

IX.

Smiejesz się, — porównanie wyda się wysokiem
Dla tych, co wszystko mierzą przymrożonym okiem;
Gdy nic wspólnego niema nieznane to imie
Z sławą, wielkością, po co tu mówić o Rzymie
O Chili, o Arabii, lub górach Hellady?
Smiejesz się! — śmiech jest lepszy niż westchnień napady;
Mógłby jednak być sławnym; wszakże był mężczyzną,
Miał odwagę, był zawsze na czele z starszyzną,
Rycerz kraj kochający lub wódz samowolny,
Przynieść sławę lub smutek swojéj ziemi zdolny;
Zdradzon pod wpływem gwiazdy, która nas wyższemi
Lub też niższemi czyni, niżeli być chcemy.

(*) »Lukullus, gdyby mierność mogła koić troski,
Jadłby proste pokarmy w zaciszu swéj wioski.« — Pope.

(**) Konsul Neron, który swym niezrównanym pochodem podszedł Hannibala, i Azdrubala poraził, dokonawszy przez to dzieła, któremu nic podobnego w rocznikach sztuki wojennéj nie znajdzie. Z piérwszą pogłoską o jego odwrocie przyniesiono Hannibalowi do obozu głowę Azdrubala. Hannibal ujrzawszy ją, zawołał z westchnieniem: »Rzym teraz będzie panem całego świata« A jednak bez tego zwycięstwa Nerona, cesarz, jego imiennik, możeby nigdy nie panował, Lecz hańba jednego zaćmiła drugiego sławę. Gdy wymawiamy imie Nerona, któż wtedy o konsulu pomyśli? Tak to zwykle bywa na świecie.

Lecz to są urojenia; powiedz kto on przecie?
Był to gnuśmy buntownik, młodzian w wieku kwiecie,
Jak morska piana wolny, Torkwil pięknowłosy,
Co go dla wysp dziewicy przeznaczyły losy.

On siedział z Neuhą, okiem wodził nad wodami, —
Neuha, jako słonecznik między wysp córami,
Z znacznego rodu (niechaj herboznawca śmiały
Szydzi, że tarcz herbowych te wyspy nie znały).
Z długiego rzędu przodków wolnych, z męstwa sławnych,
Prostych, dzikich, walecznych rycerzów lat dawnych,
Na brzegu są ich groby, zielone kurhany,
A twój — Achillu! widzę, już z ziemią zrównany.
Ona, gdy gromonośni ludzie do jéj ziemi
Płynęli w łodziach zbrojnych groty ognistémi,
Natkanych drzewem wyższém od palmy niemało,
Co śród morza, jakoby z morza wyrastało;
Lecz gdy ockną się wiatry, wnet skrzydła roztoczą,
Szerokie jako chmury co widnokrąg mroczą,
A jakby morskie grody, tak wstrzymają fale,
Że zda się, wody płyną mniéj wolno, zuchwale; —
Ona, z wiosłem pluszczącém, czółnem chyżém w biegu,
Pląsała po wód pianie, jak łani po śniegu,
Sunąć się po zbielonéj tak szybko równinie,
Jak zwinna Nereida w swém czółenku płynie;
I na tułów olbrzymi zwróciła swe oczy,
Dziwiąc się, że tak fale swym ogromem tłoczy;
Padła kotwica, okręt spoczywał tak właśnie,
Jak lew wielki, gdy grzejąc się na słońcu zaśnie,
A w koło lekkie łodzie snuły się co żywo,
Jak rój owadów, które mu brzęczą nad grzywą.

XI.

Biały przybił do brzegu, — cóż mi rzec zostaje?
Świat Nowy ciemną rękę Staremu podaje;
Dziwią się sobie wzajem, gdy podziw się kończy,
Tém mocniéjsze, tém trwalsze uczucie ich łączy.
Mile ich opaleni witali rodzice,
Z większym jeszcze zapałem spojrzały dziewice.
Wzrastały ich stosunki: dzieci burz i fali,
Że i ciemna twarz może być piękną, poznali;
Te się znowu dziwiły ich świetnéj białości,
Tém większéj, że w tym kraju śniég nigdy nie gości.
Wyścigi i przechadzki, wolne polowanie,
Ziemia, gdzie każdy domek chętnie da mieszkanie,
Sieć w morze zapuszczona, łódź szybko płynąca,
Która morskie bałwany, tak dzielnie roztrąca;
Wysp, jakby gwiazd, na modrém wód łonie jest tyle;
Sen zdrowy, pozyskany w lubą zabaw chwilę;
Palma wzniosła Dryada ich lasów rodzinnych,
Pod którą siedzi Bachus w cieniu krzewów winnych;
Gdy orły ścielą gniazdo na szczycie wzniesienia,
Co winnicę, na piersiach Dryady ocienia;
Tykwa, i ów drzewny, orzech kokosowy,
Który da czaszę, mléko i owoc gotowy;
Drzewo, które sowicie dostarcza im chleba,
Choć orać, zbierać, ani piec go nie potrzeba,
Dobry, niepomieszany z przedmioty tańszémi,
Nie z pieca, z drzew zbierany, w niekupionéj ziemi;
Nie znają wcale głodu owe żyzne kraje,
Bo tam przychodzień chleba za darmo dostaje;
To zatem, jak obfitość darów w lasach, wodzie,
Roskosze towarzyskie w ustronnéj zagrodzie,

Silnie dzikich tułaczów połączyło z tymi,
Coby szczęśliwi byli, mniéj będąc mądrymi,
Więcéj od Europy zdziałało swą siłą,
I synów wykształcenia jeszcze wykształciło.

XII.

Z tych wszystkich, a tam były liczne pary hoże,
Torkwil z Neuhą to para najpiękniejsza może:
Oboje wysp od siebie tak dalekich dzieci,
Urodzone pod gwiazdą, co nad morzem świéci;
Śród uroczych przyrody obrazów chowane,
Kochanych do ostatka, jakąkolwiek zmianę
Przebędzie me spółczucie, ono tam ulata,
Gdzie wzrok mój raz w dziecinne zachwycał się lata,
Ten, kto raz widział góry w szacie błękitnawéj,
Pokocha każde wzgórze podobnéj postawy,
Jak z przyjaciołmi, witać się będzie z skałami,
Uściśnie każdą górę swéj myśli rękami.
Długom błądził po krajach, w dali od rodziny,
Zawsze uwielbiał Alpy, kochał Apeniny.
Czciłem Parnas i Idę, góry Jowiszowe,
I Olimp, który wznosi nad morzem swą głowę:
Lecz w słodkiém upojeniu mnie nie pogrążała,
Ani mądrość lat dawnych ani przeszłość cała;
Me dziecińśtwa przeżyły młode lata moje,
Na Loch-na-gar patrzałem, widząc Idę, Troję, (*)

(*) Gdym bardzo jeszcze był młody, dopiéro w ósmym roku życia, po szkarlatynie wycierpianéj w Aberdeen, wysłany zostałem za radą lekarzów w kraj górzysty. Przy téj zręczności nie jedno tam spędziłem lato, i od téj chwili zaczyna się moje do stron górzystych przywiązanie. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakiego w kilka lat późniéj doznałem w Anglii, na widok wzgórz Malwernskich, gdy od tak dawna nic nie spotkałem, coby mi, choć w zmniejszonym obrazie, góry wystawiać mogło. Wróciwszy do Czeltenchamu, zwykłem był spoglądać na nie codziennie przed zachodem słońca z uczuciem, które opisać niepodobna. Było to dosyć dziecinnie; ale też miałem wtedy dopiéro lat trzynaście, i to było w czasie wolnym od szkolnych zatrudnień. *Lord Byron.*

Na górach Frygii żyłem Celtów wspomnieniami,
Wody mych gór równałem z Kastalii źródłami.
Przebacz cieniu Homera w całym świecie znany!
Przebacz Febie! méj myśli dziwnéj, obłąkanéj;
Syn północy, umiem czcić kraj wasz wzniosły, miły,
Bom dawniéj wielbił strony, co mi lube były.

XIII.

Miłość, któréj się wszystko lubém, piękném zdaje,
Młodość, co tęczą zdobi napowietrzne kraje,
Koniec trudom, gdy nawet mąż odważny skrycie
Cieszy się, że już drugich przestał skracać życie,
Piękność, któréj wrażenia surowi doznali,
Że uderza w ich serca, jak piorun po stali, —
Złączyły pół-dzikiego i dziką właściwie,
Dziewicę i młodziana, w jedném dusz ogniwie.
Już pamięć grzmiących bojów we śnie go nie wzruszy,
Nie wzbudzi tęsknych uczuć w niepomnéj walk duszy;
Już nudna gnusność, w któréj nie zmruża się oko,
Nie dręczy go jak orła, co siedząc wysoko,
Ostrzy dziób swój i toczy wzrok bystry po niebie,
Czyli gdzie nie upatrzy zdobyczy dla siebie;
Złagodziło się jego serce tą rozkoszą,
Uciechy poniżają, choć w niebo unoszą,
Nie zostawią wawrzynów nad urną rycerza; —
Te więdną, gdy ku bojom on krwawym nie zmierza,
Lecz gdy złożą popioły w grobowe zacisze,
Czyliż mirt nie tak mile nad nim się kołysze?
Gdyby Cezar wiódł tylko z Kleopatrą lata,
Rzym byłby wolny, a on nie podbiłby świata.
Czemże czyny Cezara i sława Cezara
Są dla ziemi? W nich cała naszéj hańby miara:

Chwała jemu przyznana więzy nasze broczy,
Rdza na nich dla ciemięzców ma powab uroczy.
Choć sława, rozum, wolność, przyroda kazały
Czynić krociom, co zdziałał jeden Brutus śmiały, —
Zgońcie te śmieszne ptaki dumnych władców sługi,
Z konarów wznioslych, gdzie już siedziały czas długi, —
Wrzeszczą na nas te sowy drapieżne, wyrodne,
My bierzem za sokołów to ptastwo niegodne,
Kiedy wolności słowo tych straszydeł zgraję
Wnet spędzi, jak ich bojaźń jawnie się wydaje.

(d. c. n.) *A. Zawadzki.*

Kronika Piśmiennicza

POLSKA.

342. Twory Józ. Dyon. Minasowicza.

Tom IV z ryciną posągu Fryderycha Szyllera przez Thorwaldsena. Wydanie Jana Nep. Bobrowicza. Lipsk, nakładem księgarni zagranicznéj (Librairie étrangère). 1844.

Tom IV opuścił najpiérwéj księgotłocznię i zawiéra: Część I^{a}. *Poezij Fryderyka Szyllera po polsku.* Z godłem:

Kto zrozumieć wieszcza chce,
Jego tchnieniem niechaj tchnie.

Godła tego użył już jeden z najznamienitszych wieszczów naszych do swoich *Sonetów krymskich:*

Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichters Lande gehen!

A więc witamy je, jako miłego nam znajomego.

Przypisanie: Tobie ku czci! nieznikoma Pamięci Fryderyka Szyllera — i wiersz *Goethe o Szyllerze*, są jakby wstępem do pięknych utworów nieśmiertelnego wieszcza Giermanów — tego jeniusza naszego wieku, walczącego z Goethem o palmę piérwszeństwa. I jakkolwiek Goethe pod względem klassycyzmu piérwsze owładnął stanowisko — to wszelako Szyller zajął piérwsze pod względem czucia i poezyi, przemawiającéj do serca. Goethego nazwano *księciem poetów,*

Szyller zasłużył na miano *poety z natchnieniem boskiém* — *poety ludu!* — Żaden z poetów niemieckich nie stał się tyle ludowym, co Szyller — i trudno znaleść w Niemczech, choćby i w najmiejszém miasteczku, najbiedniejszego rzemieślnika córkę, któraby utworów Szyllera nie czytała — któraby nie znała: *Schillers Gedichte*, *Kabale und Liebe* i t. d. — Niemal każden nauczyciel wiejski posiada dzieła Szyllera, — i tę wziętość, to uwielbianie ogólne wielkiego wieszcza, zaiste najlepszym są dowodem, że potrafił całą siłą przemówić do serca ludu. — Częstokroć mniéj ukształceni, niezdolni go całkiem zrozumieć i pojąć szczytności myśli, przecież z zachwyceniem czytają jego i mniéj przystępne dla siebie utwory, bo słodycz mowy, potoczystość i niewymuszona, niewymuskana gładkość rymu dałéj - a - daléj porywa, bo on przemawia do duszy, bo wszędzie głębokość czucia pociąga — i podobno z trudnością przyszłoby wynaleść choćby jeden słaby wiersz w Szyllerze: jemu myśli wartkim potokiem z pod pióra płynęły — a w tych myślach była dusza i serce — było niebo, bo tchnęły miłością dla ziemi — dla ludzi (*). Dięki J. D. Minasowiczowi, który nam utwory Szyllera spolszczył, bo jakkolwiek już część znaczną poezij i dramatów jego w polskich czytaliśmy przekładach, to jednakże nie mieliśmy dotąd takiéj całości — a ileżto pomiędzy temi przekładami nędznych było! — Pan J. D. Minasowicz nie tylko, że wszędzie sumienną wierność co do myśli starał się zachować, ale po największéj części z sztuką zatrzymał i miarę pierwotworu. Męskie końcówki, których często użył, także przekładowi piękności i mocy dodały.

(*) W tę chwilę, gdy obecny rozbiór się drukuje, mamy pod ręką: *Słów kilka o Szyllerze, Dziewicy Orleańskiéj*, i t. d. przez Józefa Kremera. (Ob. Dwutygodnik literacki Nr 7.) Gdzie zacny nasz ziomek tak się o Szyllerze wyraża: „*on* nie do samych Niemiec należy, ale jest wspólną własnością wszystkich narodów i wszystkich wieków, które po nim nastąpią; bo on też całą ludzkość w piersiach chował, a serdeczną miłością objął swiat cały.“ —

Z przekładów IVgo tomu celniejszemi są: *Pożegnanie Hektora.* — *Fantazija pogrzebowa*, jeden z najcudniejszych utworów Szyllera, i trudny do przeszczepienia w obcą mowę — podobno J. D. Minasowicz był pierwszym, który tego dokonał. — Czyż nie przemawiają boleśnie do serca te wyrazy:

Bo rozdarta piecze srodze rana!
Porze pierś piekielnych cierpień rój!
Bo to „Ojcze“ ciekło z ust młodziana
W sercu ojca jękło: Synu mój! —
Lodem, lodem leży ci tu w płótnie,
A tyś sen tak złoty, słodki śnił!
Słodki!... złoty! — Ojcze! to okrutnie!
Lodem, lodem leży tu w tém płótnie,
Co weselem, co twym rajem był!

Albo to piękne zakończenie:

Blady księżyc wstaje,
Łuną bieli martwociche gaje,
Tchnienia nocy jękiem przestwór drą.
Mrożą mgliste chmury,
Gwiazdy z góry,
Jak kaganiec grobów mgło się tlą.
Tępo tętni wieko zwirem bite! —
Aby raz choć spojrzyć! — Czy nie macie dusz? —
Nie! zawory grobów — niedobyte! —
Tępiéj — tępiéj tętni wieko zwirem bite:
Grób, co wziął, nie odda już.

Laura przy klawikorcie. — *Semele.* — *Do Radości:* — ów śpiew młodzieńczéj siły, miłości dla ogółu, gdzie tyle ognia i natchnienia tleje — przytaczamy tu jeden ustęp:

Siły daj do wycierpienia,
Ratuj gdzie niewinność jęczy,
Hartuj przysiąg zapewnienia,

Wspieraj prawdę, choć złe dręczy!
W obec tronów, bracia, śmiało!
I w chudobie — i przy grobie!
Jednym — wieńce z wieczną chwałą,
Rodzie kłamstwa — zguba tobie!

Z ciężkich kajdan — wyzwolenia!
Pobłażania — występnemu!
Przy skonaniu — pocieszenia,
Łaski, Sędzio — sądzonemu! —
I umarli niechaj żyją!
Bracia! zemną, całą siłą:
Wszystkie grzechy, niech się zmyją,
Aby piekła już nie było!

Walka. — Rezygnacija. — Do kogóż nie przemówi rzewnie ta myśl poety:

Maj życia kwitnie raz tylko; téj chyli
Nic już nie wróci; — dla mnie przekwitł maj.
Milczące bóstwo — płaczcie bracia mili —
Milczące bóstwo mą pochodnię chwili,
I znika widziadeł kraj.

A więc wstąpiłem w twe senne dziedzictwo,
Wieczności, groźna ty!
Odbierz szerokie twe pełnomocnictwo,
Patrz, przechowała pieczęć twe dziewictwo;
O szczęśliwości nic nie powiem ci.

. . . .

„Wypłacę ci, tam gdzie jest inne życie,
Twą młodość oddaj mi!
Ten zapis — wszystko, co tu mam na zbycie.“ —
I wziąłem zapis na to inne życie,
I méj młodości szczęście dałem jéj.

„Oddaj kobietę, co sercu tak drogą,
  Oddaj mi Laurę twą!
Boleść, za grobem, zlichwi ci się mnogo.“—
Wyrwałem z serca, skrwawiło się srogo,
  I głośnom płakał — i oddałem ją.
A świat urągał: „Oszukała ciebie,
  Za prawdę dała ci cień,
Ta obłudnica, na despotów chlebie!
Z grobu dłużnika nikt się nie wygrzebie,
  I ciebie niema, gdy wypłaty dzień!“ i t. d.

Bogowie Grecyi, skąd nam wionie żal po tém, co zniknęło — żal bolejącego wieszcza na szczątkach dawnéj świetności! — *Tajemnica.* — *Tęsknota.* — *Pielgrzym.* — *Ideały.* — Któż nie zna Ideałów? — Dowodem ich czarownéj piękności są kilkakrotne przekłady w naszéj mowie, bo Ideały wypłynęły z serca i płyną do serca. Kto ma czucie, komu, złudne omamienia dni młodości barwiły, a rzeczywistość wcześnie szarym cieniem lube zakryła obrazy, ten mniema, czytając *Ideały* — że oddanie tych uczuć bolesnego zawodu przez nieśmiertelnego wieszcza, jest odbiciem własnéj jego duszy:

Wytlały słońca, które oświecały
  Pogodną tarczą méj młodości szlak,
Jak mgła wionęły owe Ideały,
  Dla których w sercu miejsca było brak,
Pożegnać przyszło ciebie, słodka wiaro
  W istoty z mego wyrojone snu;
Rzeczywistości srogiéj dziś ofiarą,
  Co tylko pięknem, boskiém było tu.

Daléj, jakżeż nam cudnie oddał wieszcz wielkość snów młodzieńczych, mówiąc:

Ciasną pierś moję tłoczył i rozpierał
  Świat jakiś cały, źrzały płód, co brzmiał,
I wszechmogąco życia się napierał,

Czynem być, słowem, głos mieć, postać chciał;
Jakże był pyszny ten świat, co zaginął,
Póki się jeszcze w pączku swoim krył,
A jakże potém mało się rozwinął,
A w tém jak mały, jak ubogi był!

Jak poskakiwał, odwagą spinany,
Uszczęśliwiony złudą swego snu,
Młodzieniec, troską żadną nie kiełznany,
Po drodze życia jeszcze nowéj mu!
Aż tam, gdzie ether bieli się gwiazd mlekiem,
Do t y c h aż wyżyn pęd uniesień rósł,
Nic za wysokiem, nic mu za dalekiem,
Gdzie chciał, to wszędzie lot go skrzydeł niósł.

Jak łacném wszystko było do zdobycia,
Jak przed szczęśliwym znikał wszelki trud!
Jakaż nadziemska, kędy szedł wóz życia,
Tańcząc drużyna zajmowała przód!
Miłość — ze swoją nagrodą słodzoną,
I z złotym wieńcem *szczęście* było w nim.
I *sława*, z swoją gwiazdzistą koroną,
I słońce *prawdy*, świetne blaskiem swym!

I znowu, czyliż nie z serca, wyrwała się ta skarga:

Widziałem, Sławo, jak kalała sprośnie
Twe święte wieńce pospolita skroń;
Ach! nazbyt rączo, po swéj krótkiéj wiośnie,
Wionęła Miłość, jak różana woń.
I coraz cichszy był gościniec życia,
Coraz przykrzejszy, samotniejszy był;
Zaledwo jeszcze, przez blade odbicia,
Promyk nadziei po drodze się wił.

Młodzian u strumyka, znany nam już z kilku przekładów, śpiew ulubiony dziewcząt niemieckich. — *Do Przyjaciół.* — *Żal Dziewczyny* — piosnka Tekli w Wallenszteinie. — *Sprzyjanie chwili.* — *Gościna*, dithyramb. — *Dziewczyna z obcych stron*, wiersz w Niemczech bardzo lubiony. — *Godność niewiast.* — Wszystkie utwory Szyllera, tchną cześcią dla niewiast: wielki wieszcz pojął istotę kobiety — i jakżeż nam pięknie w obecnym wskazał uczucia jéj wrodzone, jéj posłannictwo — i uczucia mężczyzny, jego dążenia, żądze — jego wolę nieugiętą — n. p.

Szranki prawd nietknięte, wieczne,
Mąż zuchwałą władzą wali;
Pędzą myśli niestateczne
Po burzliwéj żądzy fali.
Rzuca się w ten świat szeroki,
Serce wieczném schnie pragnieniem,
Bez spoczynku pod obłoki,
Za swych marzeń goniąc cieniem.
Mąż, gdzie stąpi pogrom szerzy,
Za nim, ślady spustoszenia;
Dziki — życie swe przebieży,
Bez przestanku, bez wytchnienia,
W niestanownéj życzeń walce
Razem stwarza, niszczy razem,
Jak hydrowy ród — padalce
Łeb podnoszą pod żelazem.

Ale na cichszéj sławie poprzestaje
Rwąc kwiat niewiasta, jaki chwila daje,
Zerwany żywi, hoduje, pieści;
Szczupły jéj obręb, ale w nim wolniejsza,
Większe ma skarby, niż je najbujniejsza
Marzeń i nauk niwa w sobie mieści.

S z c z u p ł y *jéj obręb*, — ale wielkim jéj wpływ! bo ona w szczupłym zakresie rodzimego koła, w zaciszu domowém silnie działać może dla kraju: bo jako matka zasiewa piérwsze ziarna cnót obywatelskich w syny swoje — i biada téj, która tak świetnego odstąpiła toru! —

Daléj mówi Szyller:

Mąż chce władzy, więc zdobywa,
Siła — prawo jego harde,
Scyta mieczem przekonywa i t. d.
Ale niewiasta namawiając prosi,
Obczajności tylko berło wznosi,
I gasi kłótnię zanim się rozżarzy;
Sprawi, że siły, co się wzajem gubią,
Zbliżą się, zgodzą, ścisną i polubią,
Wieczną nienawiść w pokój skojarzy.

I zaiste, łagodność — przebaczenie — pragnienie spokoju i jedności — godzenie zwaśnionych, są cechą duszy niewieściéj,— gniew, chęć pomszczenia się, nienawiść, są jéj obcemi — i doznana niesprawiedliwość lub krzywda, tylko uczucie boleści wywoła, i we łzach żalu się rozpłynie. — Obyczajność towarzyszy jéj nieodstępnie — i mimo, woli przychodzi nam tutaj na mysl wiersz Goethego (*) oddający tak trafnie w téj mierze dążenie kobiety:

Die Schiklichkeit umgiebt mit einer Mauer,
Das zarte leicht verletzliche Geschlecht.
Wo Sittlichkeit regiert, regieren sie,
Und wo die Frechheit herrscht, da sind sie nichts.
Und wirst Du die Geschlechter beide fragen:
Nach Freiheit strebt der Mann, dus Weib nach Sitte.

(*) Kremer mówi daléj w swojéj rozprawie: „Wspomniałem wam tutaj o Goethem dla tego, by wam przypomnieć, iż on jest w istocie

I Segur powiedział:

Les hommes font les lois, les femmes font les moeurs.

Spolszczenie obecne pięknego utworu Szyllera odznacza się gładkością rymu i wdziękiem, ale rzecz dziwna, iż J. D. Minasowicz, który tak szczęśliwie i często w przekładach swych używa zakończeń męskich, w wierszu *Godność Niewiast*, tam, gdzie mowa o mężczyznie, nie użył końcówek męskich.

Pieśń o dzwonie, jeden z arcytworów Szyllera, dowodzący o olbrzymości jego siły twórczéj. — *Herkulanum* i *Pompeji*. — *Taniec*. — *Szszęście*. — *Przypowiesci Konfutsego*. — *Tablice ofiarne* (Votiv — Tafeln). — *Pierścień Polikrata*, ballada. — *Żurawie Jbikowe*, ballada. — *Nurek*, ballada, gdzie jest tyle artystycznéj piękności, gdzie nas wieszcz w kraj nieznany, bo na dno morza wprowadza. (Drukowana pierwszy raz w *Pamiętniku warszawskim*, z r. 1816 Nr 15, str. 327). — *Rycerz Toggenburg*, ballada. — *Rozkaz do Kużnic*, ballada, któréj treść do dramatu użytą została. — *Rękawiczka*, powieść — znana już podobno nie z jednego przekładu polskiéj powszechności. Pan J. D. Minasowicz zastosował się artystycznie i z najściślejszą wiernością do pierwotworu — miarowość, spadek głosu niemal równe ma brzmienie jak w oryginale. Nie możemy zganić użycia wyrazu *cwyngierz*, gdy dotąd jeszcze czysto-polskiego nie mamy, lecz spolszczenie *Loewengarten* na lwi-ogród uważamy za mniéj szczęśliwe. — Czytaliśmy w zbiorze poezij

---

drugą połową Szylelra. Oni obaj tak są wręcz odwrotni w swych kierunkach duchownych, tak wbrew sobie różni, iż się nawzajem uzupełniają, iż już trudno jednego z nich wspomnieć, by zarazem i drugi nie nasunął się pamięci, że jeden tylko przy drugim zrozumianym być może.“— Zaiste, tak jest! i nam, pisząc o utworach Szyllera, mimowolnie Goethe jawił się w pamięci.

znakomitszych wieszczów niemieckich zamieszczoną *Rękawiczkę* z zakończeniem zmienioném, to jest:

Er aber giebt ihr den Hanschuh' und spricht:
—Euren Dank Dame, den begehr ich nicht.—

Co się więcéj z rycerskim duchem i czcią dla niewiast, jakiemi jaśniał dwór Franciszka Igo, zgadza — aniżeli rzucenie przez *Delorges'a* rękawiczki w twarz Kunegondzie; a dosyć już było upokorzenia dla płochéj piękności, że rycerz jéj podzięki i ofiary w obec zgromadzonego dworu nie przyjął, nie uchybiając zarazem w jéj osobie i wszystkim niewiastom.

Przy końcu znajdują się *Przypiski.* — *Objaśnienie* — i nuty: Do Emmy, wiersz Szyllera, przekład J. D. Minasowicza — muzyka księcia Atoniego Radziwiłła. —

343. Wspomnienia z czasów Napoleona.—

Mniemana śmierć Napoleona, albo zamach Maleta w r. 1812, *przez Emila Marco de Saint-Hilaire.* — W osemce, str. 237.— Warszawa, nakładem S. Orgelbranda 1844. — Z przedmową.—

Jest to szczegołowe, opisanie spisku jenerała Malet, dokonanego z zadziwiającą zuchwałością i śmiałością, omamiającą wszystkich. Autor czerpał po większéj części wiadomości potrzebne z *Historyi spisku jenerała Malet,* napisanéj przez księdza Lafon, spólnika zamachu Maleta, który zdołał schronić się; ukrywał się pod obcem nazwiskiem, sprzyjając ciągle sprawie Burbonów — a za powtórnym powrotem Ludwika XVIII dostał order legii honorowéj i został mianowany professorem matematyki paziów. — Rzecz jasno i zwięźle skreślona potrafi zająć czytelnika. Tłumaczenie, wyjąwszy kilko pomniejszych usterków, dobre — i zalecające się przecież lepszym wyborem, aniżeli te wszystkie romanse Kocka Bernarda i t. p.